

## Bydgoski „ŚWIĘTOSZEK”

„Świętoszek” Moliera, choć od momentu jego napisania upłynęło ponad 300 lat, ciągle jeszcze nie schodzi ze scen. Różne postaci „Świętoszka”, ileż powiedzonek, weszło do języka obiegowego. Najlepsza to rekomendacja dla sztuki. A rolę? Cóż za możliwości interpretacyjne, jakaż możliwość wygrania się!

A i sam problem choć w nieco odmiennej postaci, ciągle jeszcze aktualny. Owo faryzeuszowski obłudnik, ów pobożniś ogarnięty najbardziej ziemską namiętnością do kobiety, owa umiejętność naginania praw do przyziemnych osobistych interesów. A wszystko to przykryte płaszczkiem głębokiej wiary i spełniania przykazań boskich.

Nic więc dziwnego, że reżyserzy chętnie sięgają po Moliera. Dobrze się stało, że przypomniano „Świętoszka” i bydgoskiej publiczności.

Sądzę, że księża nie będą z ambon nawoływać do bojkotu przedstawień, (byłaby to najlepsza reklama) jak to przed 300 laty bywało (sam arcybiskup Paryża interweniował wówczas u króla).

A publiczność będzie chodzić zwabiona nazwiskiem autora i wieścią o ciekawych próbach przeniesienia akcji do współczesności. Obywa się to bez udziału Moliera któremu wdzięczna Doryna zakrywa przed przedstawieniem przepaśkę czy. Maże i dobrze, miał dość kłopotów z tą sztuką za życia, po co zakłócać mu spokój na tamtych świecie?

Jednakże stara to prawda, że nie zawsze efekty idą w parze z zamiarami. Przekonał się ostatnio o tym i sam papież, pisząc swą słynną encyklikę „Humanae vitae”. Tak na przykład wiele kobiet portugalskich dopiero z kazań wygłaszanych z ambon kościelnych dowiedziało się o istnieniu środków antykoncepcyjnych. Nie dziwnego też, że kapcy notują wzrost sprzedaży tych środków.

Również i w wypadku bydgoskiego „Świętoszka” efekty nie poszły w parze z zamierzeniami. Autor programu, przedstawiając autora sztuki, tak oto pisze o zamierzeniach reżysera: „Oto komedia, która jest na tyle wieczna, że nie potrzebuje kostiumu, peruki, rekwizytu epoki Moliera. W każdym razie warto zaryzykować.” Słusznie, pochwalam i ja chęć eksperymentowania, a że nie wyszło — trudno. Nauka nie pójdzie chyba w las.

A dlaczego nie wyszło? Złożyło się na to kilka przyczyn, o których kolejno. Zgoda na pewne uwspółcześnienie kostiumów. Ale dlaczego syn Orgona, Damis (Mieczysław Pietrusiński z fatalną dykcją) nosi strój, którego by mu pozazdrościł sam Niemen, a pan Zgoda (poprawny Andrzej Saar) tak ludzko przypomina Edena czy Chamberlaina (tego od polityki). Albo peniarz Elmira — kankanowy kostium z Moulin Rouge. I takich niekonsekwencji wiele.

Ale najwięcej zastrzeżeń budzić muszą interpretacje aktorskie. Zaczniemy od Tartuffe'a w wykonaniu Zdzisława Winiarczyka. Rola dopuszczająca szeroką interpretację, rolę którą grali i Bończa i Frenkiel, Zelwerowicz, ba i Solski. Może grać i Winiarczyk. Ale nie w ten sposób. Bo na scenie był wiernie powtórzony mały żulik z „Maliniarza”, a nie Tartuffe. Nie można być jednakowym i w scenach z panią Orgonową i w scenach z jej mężem. Nie można grać takiej roli,

nie mając praktycznie żadnej koncepcji interpretacji.

Pani Elmira, żona Orgona, w wykonaniu doświadczonej, utalentowanej, pięknie podającej tekst Ewy Studenckiej-Kłosowicz, mimo aplauzu części widowni drażniła mnie w scenie kuszenia Tartuffe'a.

Muszę tu wkrótce powtórzyć słowa Ber'a z jego recenzji z 1943 r.: „Elmira to kobieta brawiada za średniej egzystencji rodziną, kobieta obrazona w swojej duszy, zmuszona wlec się do środków, które są jej wstrętne — nie zaś podrywająca z farsu, rozchichotana, rada, że spłatała figla.”

Ze scena ta wypadła śmiesznie? — zgoda! Ale czy a śmiech za wszelką cenę chodzi? Przecież ta scena ma zadecydować o szczęściu rodzinnym, tu rozgrywa się wielki dramat mimo farsowości sytuacji.

Natomiast Orgon — Stefan Czyżewski, zasłużył na wielkie brawa. Nie pierwszy raz udowodnił, że jest naprawdę utalentowanym, o szerokiej skali możliwości aktorem.

I jeszcze Krystyna Mueller (matka) bezbarwna Zofia Dobrzańska (córka) nijaki Tadeusz Bartkowiak (Walery), poprawny Jerzy Stasiuk (Kleant) i nie umiejący nawet kilku wierszy lektu Adam Krajewicz (oficer Gwardii), przez co położył całkowicie efektowną scenę finałową.

A że nie napisałem nic o Dorynie (Barbarze Drogorób)? Dlatego, że chciałbym zakończyć akcentem optymistycznym. To była chyba jej najlepsza rola, jaką widziałem. W miarę przebiegła, w miarę feryczna, w miarę serdeczna i przywiązana — taka jaką Doryna być powinna. Wielkie brawa, pani Barbaro.

MICHAŁ KORCZYŃSKI

Molier — „ŚWIĘTOSZEK” — reżyseria: Krystyna Meissnaer; scenografia: Jerzy Łowacz; opracowanie muzyczne: Grzegorz Kardaś. Teatr Kameralny Bydgoszcz. Premiera 7 września 1966 roku.